



100 LAT NIEPODLEGŁOŚCI I CO DALEJ?

Krystyna Janda

ROZMAWIA *ALEKSANDRA PAWLICKA*



WIELKIE SŁOWA MAJĄ MOC

Role-manifesty wyfruwają ze mnie jak niekontrolowany ptak. One po prostu muszą się w moim życiu wydarzyć – **KRYSTYNA JANDA** o wolności, odmawianiu i ludziach-płomieniach

NEWSWEEK: Czy słowo „niepodległość” zużyło się politycznie?

KRYSTYNA JANDA: Ja jestem z teatru, z literatury i wielkie słowa nie mogłyby wiarygodnie wybrzmieć na scenie, gdybym w nie nie wierzyła. Nawet jeśli ktoś uważa, że to naiwne lub idealistyczne, one wciąż mają dla mnie moc i głęboki sens. Jednym z takich słów jest „niepodległość”. Innym – „wolność”, niezależnie od tego, co się z tą wolnością po 1989 r. wyrabiało.

Wierzyła pani, że wolność uzyskana w 1989 r. została nam dana raz na zawsze?

– A kto nie wierzył? Oczywiście, wiedziałam, że będzie trudno, że koszty społeczne będą bolesne, nagraliśmy od razu taki spot, który był emitowany w telewizji na okrągło: „Jesteśmy wreszcie we własnym domu. Nie stój, nie czekaj. Co robić? Pomóż!”. Byłam święcie przekonana, że po takich jak nasze doświadczeniach historycznych tylko idiota może dać sobie odebrać wolność. Tak długo o nią walczyliśmy, tak długo o niej marzyliśmy, tak wiele było w naszej historii okresów zniewolenia, że nie tylko nie pozwolimy jej sobie zabrać, ale już wno nie zepsujemy jej sobie sami.

No i co?

– No i jestem rozczarowana. Rozczarowana... trudno mi nawet nazwać czym... (*długa chwila zamyślenia*).

Chyba najbardziej brakiem ideałów, bo zawsze wydawało mi się, że są wartości nie do podważenia, a dziś wygrywają podłość, kłamstwo, małość, interesowność, koniunkturalizm. Jestem rozczarowana tak infantylną nieumiejętnością docenienia tego, cośmy od losu dostali. Czy naprawdę nigdy nie zaczniemy uczyć się na własnych błędach? No i co się porobiło z ludźmi!

Pracując za granicą, zawsze się cieszyłam, kiedy spotykałam Polaka. Wiedziałam, że będziemy mieli o czym rozmawiać, bo myślimy podobnie, bo czytaliśmy te same książki, dźwigamy ten sam bagaż doświadczeń. A dziś? Dziś mam 66 lat i poczucie, że więcej mnie z moim rodakiem może dzielić, niż łączyć. Wolę więc nie rozmawiać. Coraz częściej milczę. I się nie uśmiecham.

Napisała pani ostatnio w swoim internetowym dzienniku:

„Dostałam tytuł Człowieka Wolności

i Medal Karola Wielkiego za wkład

w zjednoczenie Europy na polu sztuki.

Pilna uczennica wielkiej zmiany. Anyway,

29 lat minęło od zmiany. I po co ja to

piszę? Ja, zasłużona dla Polski Ludowej

i III RP, a teraz opluwana. Po co piszę?

Z bezsilności”.

– Nie chodzi o mnie. Gdy obserwuję, jak poniżani się ludzie wybitni, z niekwestionowanym dorobkiem i jak nie potrafią się bronić przed chamstwem i prymitywizmem, bo w życiu nie zakładali, że przyjdzie im się z czymś takim konfrontować, to czuję bezsilność. Gdy ktoś do mnie pisze: „Wypier... k... z tego kraju, jak ci się nie podoba”, to zastanawiam się, czy ten ktoś zrobił więcej dla Polski niż ja? Założyłam fundację, dwa teatry, którymi mogłaby się pochwalić każda europejska stolica, daję pracę wielu ludziom, 400 aktorom. Gramy 880 razy w roku. Z minimalną pomocą państwa. I co? Tylko wypier...?

Gorycz?

– Gdy wchodzę do miejsc publicznych, takich jak szpital czy kino, nie czuję się najlepiej. Nigdy wcześniej tego nie miałam. Zawsze byłam bardzo towarzyską osobą, takim zwierzęciem zachłannym na żarty, na radość, na śmiech, na życie, a teraz wolę być sama. Zakopałam się w teatrze, w książkach. Od prawie trzech lat jestem praktycznie na emigracji wewnętrznej. Rozmowy bołą, te oczywistości, gdy trzeba na nowo tłumaczyć i uzasadniać, że białe jest białe. Dlaczego? Co się stało? Przecież to było oczywiste?

Bo żyjemy w zalewie kłamstwa i jeśli nie będziemy dawać oporu, kłamstwo stanie się rzeczywistością.

– Jestem tym przerażona. Wie pani, że jeśli kłamstwo stanie się rzeczywistością i my się na to zgodzimy, to sztuka też przestanie istnieć?

Nawet jako rodzaj sprzeciwu?

– Sztuka wymaga prawdy. Zakłamana do nikogo nie przemówi, nikogo nie poruszy. Atakujące nas zewsząd kłamstwo ma wpływ na wszystko. Na miłość, na macierzyństwo, na przyjaźń, na zaufanie, od którego zależą nasze relacje. To tak, jakby ktoś odbierał nam możliwość harmonijnej egzystencji. A jednocześnie myślę: „Boże, jaka ty jesteś naiwna! Przecież zawsze widziałaś, że człowiek generalnie nie jest całkiem dobry. I tak dałaś się zaskoczyć?”. No dałam. Żyłam w nadziei, że zmierzamy w dobrym kierunku, wiadomo – z błędami, ale do przodu. A teraz świadomość tego, dokąd zmierzamy, napawa mnie dojmującym smutkiem.

A dokąd, pani zdaniem, zmierzamy?

– Do komunizmu. To ma być kraj katolicko-narodowy! Nikt nic lepszego niż liberalna demokracja nie wymyślił. Miała być dyktatura demokracji, a jest zdobyta podstępem dyktatura jednej partii. Zresztą nie chcę się mądrzyć, polityka to nie moja dome-

na, ja tylko czuję każdą komórką swojego ciała, serca i umysłu, że nie chcę tego, co się w moim kraju wyrabia.

Mój ojciec, inżynier, zbrojeniowiec, przez całe życie martwił się tym, czy Polska zdoła oddać dług narodowy. Śmiałam się z niego i mówiłam: „Tato, przestań wreszcie liczyć ten dług narodowy!”. A dziś sama się martwię czy zdołamy naprawić to, co zostało zepsute w ostatnim czasie. Wszystko tak nagle się cofnęło.

Ma pani poczucie straconej szansy?

– Straszne. Urodziłam się w 1952 r., w moim pokoleniu wciąż żywa była spuścizna wojenna, a tym samym pokój był traktowany jako największy skarb. Dorastałam w komunizmie, w którym dominowało przekonanie, że skarb pokoju trzeba słono opłacić

sowiecką niewolą. Dlatego gdy nagle dostaliśmy i skarb pokoju, i skarb wolności, to wydawało mi się, że większego szczęścia już być nie może. Tylko trzeba pracować, mądrze to urządzić i zdać się na światłych, rozsądnych, mądrych ludzi. I nie ludzi, którzy będą mi mówili, jak mam żyć, myśleć, czuć i postępować, bo to wiem.

Teraz czuję się, jakbym była chora. Jakbym miała raka, którego nie mam. Takiego mentalnego raka. Czuję, jakby coś się dla mnie skończyło. Jakbym straciła nadzieję, że nawet jeśli uda się wyzdrowieć, to nigdy już nie wrócę do stanu, w którym byłam jeszcze niedawno. Byłam taka dumna z tej nowej Polski.

Odebrano pani tę dumę?

– Zawsze myślałam: dopóki żyję, muszę gardę trzymać wysoko. Nawet w tych najcięższych chwilach, gdy umierały bliskie mi osoby, gdy przeżywałam ból i żalobę, ostatecznie zwyciężało życie, bo żyłam w perspektywie jasności. I nagle tę jasność zaczął pochłaniać mrok.

Jak się temu przeciwstawić?

– Moja 90-letnia mama siedzi przed telewizorem i patrzy, i liczy, i sumuje kłamstwa, niegodziwości, hańbę i ciągle powtarza: „Żebyśmy ja tylko zdążyła dożyć znów innej Polski”. Pamiętam, jak



**WIE PANI, ŻE JEŚLI
KŁAMSTWO STANIE SIĘ
RZECZYWISTOŚCIĄ I MY
SIĘ NA TO ZGODZIMY,
TO SZTUKA TEŻ
PRZESTANIE ISTNIEĆ?**

Krystyna Janda podczas rozmowy z Aleksandrą Pawlicką w warszawskim Teatrze Polonia



Danusia Szaflarska żaliła się, że nie pozwolą jej umrzeć w wolnym kraju, w poczuciu, że wszystko ma ład i sens. Przecież to jest okropne – zabierać ludziom nadzieję.

Stasiek Tym dowcipnie, jak to on, napisał, że musi teraz bardzo o siebie dbać, pilnować brania leków, bo trzeba dożyć prawdziwie dobrej zmiany.

Otrzymała pani ostatnio nagrodę na Festiwalu Prapremier w Bydgoszczy za spektakl „Zapiski z wygnania” i za kreację, która „przywraca sens i powagę obywatelskiemu zaangażowaniu artysty w sprawy publiczne”.

– Myślałam, że powie pani o nagrodzie im. Mordechaja Anielewicz, którą dostałam też za tę rolę i z której to nagrody jestem bardzo dumna. Nagroda za umiejętność współodczuwania. Czy może być piękniejszy tytuł?

Spektakl opowiada o Marcu '68, ale kończy się siedmiominutowym filmem z marszów 11 listopada urządzanych w ostatnich latach przez środowiska prawicowe, narodowe. I nagle to, o czym opowiadałam ze szczegółami przez półtorej godziny, ożywa we współczesności. To zestawienie jest przerażające. Gdy kończymy, widownia milczy. Nie powinniśmy się chyba nawet kłaniać, bo jak się kłaniać po czymś takim?

Nie ma pani wrażenia, że została naznaczona rolą Agnieszki z „Człowieka z marmuru” na wieczną bojowniczkę nigdy nieschodzącą z barykady?

– Nie daj Boże! Ja tego nie planuję. Role-manifesty wyfruują ze mnie jak niekontrolowany ptak. One po prostu muszą się w moim życiu wydarzyć. Inna rzecz, że doskonale orientuję się w tym, co dzieje się w Polsce. Codziennie siedzę po parę godzin w internecie, czytam jedną i drugą stronę. Aż czasami przychodzi opamiętanie i wtedy pytam samą siebie: „Czy ty nie zwario-

wałaś?”. Ostatnio załatwiłam się na cały tydzień wspomnieniami Nadii Sawczenko opisującej swoją głodówkę w rosyjskim więzieniu. Przed oczyma od razu stanął mi Ołeh Sencow. „Boże – myślę – czy nie mogłabyś poczytać Stendhala albo ukochanego Prousta, którego na nowo właśnie przetłumaczono?”. No nie mogę. Żyję w kraju zagrożenia, podskórnie sączonego niepokoju, w kraju będącym w stanie emocjonalnej wojny i podświadomie wybieram treści opisujące taki stan. Gdy idę na demonstrację, to widzę ludzi, których trzępie wewnątrz, tak samo jak mnie.

Te emocje wyczuwa pani także w teatrze w czasie przedstawień?

– Wciąż gram opowieść Danuty Wałęsowej, spektakl, który zrobiliśmy sześć lat temu, ale ostatnio nabrał nowego znaczenia. Kończę kwestią: „A czego bym chciała? Chciałabym, żeby Polska była szczęśliwa”. Wypowiadając te słowa, uświadamiam sobie za każdym razem, że ta puenta brzmi dziś zupełnie inaczej. W pierwotnym zamierzeniu była szczęśliwym finałem historii kobiety na tle historii Polski. Wybór tekstów z książki Danuty Wałęsowej wygłaszam, stojąc twarzą do widowni, a za moimi plecami wyświetlany jest film Janusza Zaorskiego, zmontowany z dokumentów opowiadających o polskiej drodze do wolności. Dziś wszyscy, ja na scenie i publiczność na widowni, mamy poczucie już nie dumy, ale straty i wielkiego żalu. Zdarzyło się, że ludzie przynieśli do teatru flagi i transparenty. Rozwinęli je na koniec przedstawienia, w ciszy.

Powiedziała pani, że wciąż wierzy w wielkie słowa.

Co ukształtowało w pani taką postawę?

– Zaczęło się w liceum plastycznym, które było kompletnie apolityczną szkołą w czasach, gdy wszystko wokół było polityczne. Mieściło się w Podchorążówce, w Łazienkach. Zajmowaliśmy

się malowaniem, rzeźbą, upiększaniem świata, żadnej akademii ku czci. Chcieliśmy obłożyć Pałac Kultury ligniną, połączyć wodą i posadzić rzeżuchę, żeby zamienił się w wielką zieloną górę. To była egzemplifikacja tego, co mieliśmy w głowie. Potem, z tym wewnętrznym imperatywem upiększania otaczającej nas siermięgi, trafiłam do szkoły teatralnej. I tam zaczęłam uczyć się wielkich słów. Zaczęłam wkładać w swój organizm takie uczucia, jak przyjaźń, miłość, złość, bo przecież nikt nie myśli o tym, jak to wygląda, kochając, a student szkoły teatralnej musi sobie to uświadomić, aby móc taki stan zagrać.

I gdy nauczyłam się gry, a jednocześnie byłam pełna młodzieńczej wiary w możliwość zmieniania świata, zjawiał się na mojej drodze Andrzej Wajda. Zaproponował rolę Agnieszki w „Człowieku z marmuru”. Emocjonalnie byłam do tego debiutu gotowa, ale okazało się, że nie znam historii własnego kraju. Zaczęłam się jej uczyć wraz z filmową Agnieszką. I strasznie się wtedy oburzyłam. (*śmiech*)

Oburzyłam?

– Moja rodzina pochodzi z Kieleckiego, rodzice studiowali dzięki socjalizmowi, ja jestem dzieckiem socjalizmu. Gdy przyszedł Marzec '68, zamykano nas w liceum i nie pozwalano iść na Krakowskie Przedmieście pod uniwersytet. Ze szkoły musieli odbierać nas rodzice. Długo nie wiedziałam, o co w tym Marcu chodzi. Wielu ludzi nie wie do dziś. Gdy obserwuję wychodzących ze spektaklu „Zapiski z wygnania”, często słyszę: „Nie wiedziałem... nie miałem świadomości...”.

Zakazaną literaturę: Gombrowicza, Bukowskiego, Sołżenicyna poznałam dopiero na studiach. „Inny świat” Herlinga-Grudzińskiego czytałam pierwszy raz, robiąc „Człowieka z marmuru”. I może dlatego, że odkrycie polskiej historii przyszło tak późno, było to tak zachłanne. Tak świeże. Wajda spotkany na skrzyżowaniu życia okazał się moim drogowskazem. Dalej poszłam już z nim.

Powiedział, dlaczego wybrał akurat panią do tej roli?

– Zawsze odczuwałam na 120 procent. Moja babcia mówiła, że mam w sobie tzw. święte oburzenie: na kłamstwo, na krzywdę ludzką, na krzywdę zwierzęcia. Takie odczuwanie aż z trzewi. Wajda powiedział mi kiedyś: „Dałem ci tę rolę, bo nie kłamiesz, bo wszystko, co mówisz przed kamerą, wychodzi z ciebie”. Taka prosta rzecz. Wewnętrzna prawda. Ja wiem, że są role, których bym nie zagrała. Kiedyś francuska reżyserka zaproponowała mi zagranie zakonnic mordującej dzieci zakonnic pochodzące z gwałtów. Scenariusz był ciekawy, ale kompletnie antypolski. Prosiłam o dopisanie paru scen uzasadniających to, że morduje i zakopuje w lesie te niewinne dzieci. Reżyserka się nie zgodziła, była zdumiona moją postawą i moją odmową. A ze mnie po prostu taka rola by nie wyszła. To było ponad moją możliwość bycia w zgodzie z samą sobą.

Andrzejowi Wajdzie nigdy pani nie odmówiła?

– Więcej, pamiętam, gdy wystawialiśmy „Wieczernik” Ernesta Brylla w kościele na Żytniej (to były jeszcze takie czasy, gdy instytucja Kościoła była wspierana, była z ludem), to wzywano mnie na przesłuchania. Śledczy pytał z pogardą, czy zagram wszędzie, gdzie Wajda mi każe, nawet w toalecie? Odpowiadałam: tak, bo najważniejsze, co się gra. Spotkanie z Wajdą, z ludźmi kina moralnego niepokoju: Bugajskim, Kijowskim, Łozińskim..., spotkanie z opozycjonistami w domu Jacka Kuronia sprawiło, że mój świat stał się właśnie taki jak oni. To byli ludzie-płomienie.

Ryszard Bugajski, reżyser zakazanego w PRL filmu

„Przesłuchanie”, powiedział, że wykreowana przez panią w tym filmie postać Antoniny to „obraz człowieka, który chce być wolny bez względu na cenę, jaką musi zapłacić”.

– Dokładnie tak. Myśmy naprawdę tak myśleli. I chyba myślimy.

Czy jako Polka jest pani z czegoś dumna?

– Z ludzi. Z wielu ludzi. Pisarzy, poetów, malarzy. Muzyków, artystów, lekarzy, naukowców, architektów, prawników... To paradoksalne, bo mówiłam o małościowości rodaków, ale jednocześnie jest wielu takich, dla których ideały, wierność prawdzie i mądrość, choć są dziś w tak dramatycznej precenii, pozostały wciąż ważne. I to cudne esprit i poczucie humoru. Abstrakcyjne myślenie. Wystarczy poczytać w internecie, jak inteligentne i lotne są komentarze wielu w kontraście do wypocin troglodytów bez myśli i serc. Z tych wielu uczciwych, rzetelnych, pracowitych, światłych ludzi, Polaków, do których trzeba wysoko podskoczyć, aby złapać ich myśl, jestem bardzo dumna.

Myślała pani kiedyś o emigracji?

– Nie. Chyba nie. Mieszkaliśmy długo za granicą. Mąż robił filmy w Niemczech,

ja sporo grałam. Mieliśmy piękne mieszkanie w Berlinie. Wielu przyjaciół, współpracowników, którzy nie chcieli, żebyśmy wracali i w czasie stanu wojennego to była doskonała oferta. Ale wiedzieliśmy z mężem, że jesteśmy tam tylko gośćmi. Nasze zawody, szczególnie mój, są nierozdzielnie związane z językiem, kulturą, wiedzieliśmy, że będziemy tam cenieni, ale nigdy w naszych zawodach nie będziemy elitą. Pewnego dnia mąż powiedział do mnie: „Zostawiłaś swoją publiczność, musisz do niej wracać”. I miał rację.

Gdy stoję na scenie i mówię wiersz Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej: „jestem jeszcze wraz z wiewiórką i pieskiem, piszę, czytam i palę, wciąż mam oczy niebieskie, lecz to wszystko tylko siłą rozpędu”, to czuję, jak ta siła rozpędu zapiera mi dech i to zupełnie z innego dziś powodu. I wiem, że widownia czuje to samo. Takie momenty: wspól-myślenia, wspól-odczuwania nadają temu, co się w życiu robi, sens. **N**

aleksandra.pawlicka@newsweek.pl